

SAM NA SCENIE

*Gazeta festiwalowa 23. finału turnieju teatrów jednego aktora
71. Ogólnopolski Konkurs Recytatorski*

Słupsk, dnia 18 czerwca 2026 r. numer 1/2



Zaczęliśmy!

Tegoroczny Sam na scenie jest edycją pojubi-leuszową. W zeszłym roku świętowaliśmy bo-wiem 70. urodziny Ogólnopolskiego Konkur-su Recytatorskiego. Wypadałoby zatem, aby w 2026 roku obeszło się bez zwyczajowej dla tego konkursu matematyki wyższych wymia-rów, która uwzględnia edycje zamiejscowe, zdalne, niepoliteczne i źle ponumerowane. Jed-nak się nie obeszło.

to tak szybko. Za to wszyscy zgodnie uznali, że to wyśmienita sposobność, aby nagrodzić daw-ną instruktorkę, a dzisiejszą Jolkę Dyrektor-kę, gromkimi brawami.

Pozostała część otwarcia festiwalu przebiegła w całkowicie standardowej formule święta mo-nodramistów. Na twarzach pojawił się około milion uśmiechów, starzy znajomi padali sobie w objęcia niczym dawno niewidziana rodzi-na, a „pierwszorocznicy” zostali zapoznani ze wszystkimi ważnymi członkami tej społeczności



fot. Aleksandra Ugwu

Okazuje się, że gdy spotykają się ze sobą miłośni-cy żywego słowa z całej Polski, zawsze znajdzie się jakaś okazja do świętowania. Tegorocznym asumptem do celebracji stało się czterdziesto-lecie pracy organizatorskiej i animacyjnej dy-rektorki Słupskiego Ośrodka Kultury, Jolanty Krawczykiewicz. W tym roku mija już czwarta dekada, od kiedy za jej sprawą w Słupsku orga-nizowane są eliminacje OKR. Nikt nie wie, kie-dy to minęło. Nikt nie podejrzewał, że stało się

– czyli właściwie ze wszystkimi. Krótko mówiąc: było radośnie, miło i rodzinnie.

Sam na scenie to jednak nie tylko uściski i ra-dosne rozmowy w kularach. Nadszedł czas by opuścić foyer, zobaczyć jak gasną światła widow-ni i rozpalają się reflektory, Czas stanąć w ich świetle całkiem samotnie na scenie i pokazać się światu.

Maciej Swornowski

W pierwszym numerze prezentujemy sylwetki połowy składu jurorów tegorocznego Sam na sce-nie. W numerze drugim pojawią się informacje o drugiej, równie ważnej, połowie.

Ziuta Zającówna (Józefa Zając-Jamróż) – ak-torka, reżyserka, prof. Akademii Sztuk Teatral-nych w Krakowie. Laureatka nagród na międ-zynarodowych festiwalach teatrów jednego aktora i małych form teatralnych. Stypendyst-ka Polsko-Amerykańskiej Fundacji Fulbrighta. Założycielka Teatru Proscenium w Krakowie. Realizuje niezależne projekty artystyczne w ramach STeN – Stowarzyszenia Teatrów Nieinstytucjonalnych w Krakowie.



fot. Aleksandra Ugwu



fot. Aleksandra Ugwu

Paweł Drzewiecki – aktor, reżyser teatralny i radiowy, menedżer kultury. Dyrektor Teatru Małego w Tychach, a także dyrektor artystyczny Festiwalu Monodramu MoTyF oraz Tyskich Spotkań Teatralnych. Monodramista, laureat Grand Prix na I Suwalskich Spotkaniach z Mo-nodramem w 2001 roku. W ubiegłym roku słuchowisko w jego reżyserii, zrealizowane na podstawie dramatu Witolda Gombrowicza „Iwona, księżniczka Burgunda”, znalazło się w finale festiwalu Dwa Teatry w Sopocie.

Kotki, pieski, dopamina i koniec rodzaju ludzkiego

Zalew treści cyfrowych, kipiący wręcz z mojego telefonu, zdążył już wielokrotnie doprowadzić mnie do stanu swoistego stuporu, w którym jestem rozchwiany pomiędzy absolutną euforią a krańcowym zmęczeniem. Nigdy nie myślałem, że ta epidemia cyfrowego narkotyku dosięgnie mnie również podczas tak wybitnie analogowego wydarzenia, jakim jest ogólnopolski festiwal „Sam na scenie”. „Takie czasy” – stwierdzi ktoś i pewnie będzie miał rację. Słupski finał turnieju teatrów jednego aktora jest zazwyczaj przegła-

Weronika Jadwisieńczyk, woj. dolnośląskie, Legnica
„Chmura” (20’) inspirowane piosenką „Witam w internecie”, słowa i muzyka:
Bo Burnham,
tłumaczenie: Julia Bielińska
scenariusz i reżyseria: Weronika Jadwisieńczyk

dem traum i wyzwań dotyczących jednostkę ludzką, najczęściej zresztą bardzo młodą. Nic zatem dziwnego, że w końcu i z tym problemem przyszło się zmierzyć twórcom młodego poko-lenia scenycznego.

Osoby w moim wieku, czyli podeszłym, mogą jeszcze mgliście pamiętać czasy przedcyfrowe,



fot. Aleksandra Ugwu

kiedy szerokopasmowy internet był obietnicą dostępu do rajy zdemokratyzowanej wiedzy, wolnej kultury i swobodnej wymiany myśli. Możliwość skorzystania z tej krynicy szczęścia była marzeniem, od którego dzieliła nas przepaść biedy, zacofania infrastrukturalnego i ograniczeń przepustowości modemu dial-up. Obecnie moc obliczeniowa każdego urządzenia – od smartfona po lodówkę czy autonomiczny odkurzacz – przewyższa wszystko, o czym dawniej można było pomarzyć. Powinno być więc dobrze? Ale jest, jak jest. Zamiast wspólnoty wiedzy mamy podzielone pseudospołeczności, napędzane jak laboratoryjne szczury przez projektowanie perswazyjne, grywalizację i inne metody inżynierii behawioralnej rodem z dystopijnych powieści sci-fi.

Osoby, których PESEL nie zaczyna się od cyfry 8 lub niższej, w większości wychowały się już w świecie, gdzie internet jest zjawiskiem tak oczywistym, jak dostęp do prądu lub bieżącej wody. Ich świat to tytułowa monodramowa „Chmura”, w której nie ma żadnej hierarchii, zasad dekorum czy wartości. Wszystko miesza się ze sobą w nieustannym natłoku śmieciowych treści i dopaminowych hajów, stymulowanych przez zautomatyzowaną neurostymulację. Nawet tam, gdzie pojawia się możliwość

uczestniczenia w kontaktach ze społecznością prawdziwych ludzi, relacje podszyte są toksyczną mieszanką wywoływania wstydu, zaniżania samooceny i przekraczania zdrowych granic prywatności.

Wydaje się, że Weronika dobrze oddała ten koszmarno-smutno-neurotyczno-groteskowy klimat współczesnego doświadczania świata. Pokazała nam rodzaj horroru ubranego w szaty musicalowo-kabaretowe. Nie miała w tym rola jej solidnego przygotowania wokalnego i ogólnego poczucia rytmu. Dzięki jej kreacji dało się odczuć to specyficzne napięcie wywołane uzależnieniem od cyfrowej rzeczywistości, jej wszechobecnością oraz tą dyskretną zmianą, która sprawiła, że z narzędzia do poznawania świata internet stał się światem samym w sobie.

Jednocześnie nadmienić trzeba, że spektakl miał swoje słabsze strony. Przede wszystkim brakowało silnego scenariusza, który pozwoliłby wyrazić akcentować przekaz sceniczny. W występie Weroniki widziałem słabsze fragmenty, zwłaszcza gdy wychodziła poza repertuar muzyczny. W partiach mówionych dało się odczuć pewne zagubienie i swoiste „niebycie” w pełni w roli. Jednak ta ostatnia uwaga może odnosić się do większości młodych aktorów i aktorek – ta słabość prawdopodobnie zniknie z czasem

i pracą poświęconą na rozwój. Ponadto podkreślić muszę słabe ogranie rekwizytów, które pojawiły się na scenie bez wyraźnej przyczyny lub nie zostały należycie użyte.

Chciałbym jeszcze kiedyś zobaczyć występ Weroniki w spektaklu zdecydowanie dłuższym

i zbudowanym na tekście literackim o mocniejszym potencjale scenicznym. Tymczasem obejrzałem spektakl ciekawy, zainspirowany mądrą i ważną tematyką, lecz z dość wyraźnymi brakami w scenariuszu i wykonaniu.

Maciej Swornowski

Pokój z widokiem na stres

Znerwicowany nastolatek – temat w ostatnim czasie wałkowany przez wszystkich: psychologów, nauczycieli, sąsiadów, dziennikarzy i przede wszystkim przez rodziców, bo to oni muszą zmagać się z często wręcz irracjonalnym zachowaniem swoich dzieci. Jeśli weszliście już w etap rodzicielstwa, „Monolog znerwicowanego ucznia” w wykonaniu Miłosa Kucharskiego z Klubu 3. Zamojskiego Batalionu Zmechanizowanego niczym Was nie zaskoczy. Jeśli jednak dopiero planujecie prokreację, ten monodram przygotowuje Was na to, co nieuniknione.

Spektakl, któremu zdecydowanie bliżej do kabaretowego skeczu, oparty został na tekście

Miłosz Kucharski, Klub 3 Zamojskiego Batalionu Zmechanizowanego, Zamość
 „Monolog znerwicowanego ucznia” (15’) na motywach opowiadania Moniki Poppek pod tym samym tytułem
 reżyseria: Miłosz Ferenc

Moniki Poppek – utworze bardzo popularnym i często wykorzystywanym w konkursach recytatorskich na różnych szczeblach, zwłaszcza szkolnych, na co zresztą wskazuje sam tytuł.

Miłosz Kucharski na scenie teatru Rondo miał do odegrania rolę, która z racji jego wieku nie powinna być mu obca. Przedstawione w tekście sytuacje, choć odrobinę przerysowane, są mu z pewnością doskonale znane. Spektakl od samego początku raczy nas absurdalnymi cy-



fot. Aleksandra Ugwu

tatami z uczniowskich wypracowań – czasami zabawnymi, innym razem już mniej, a czasem wcale. Nie każdy śmieje się z kabaretów, a jak już wspominałem, ten monodram mocno dryfuje w tym kierunku. Niemniej jest to tekst dobrze skrojony dla młodych wykonawców, którzy dopiero rozpoczynają podróż po długiej i wyboistej teatralnej drodze. Znajdziemy w nim miejsce zarówno na pokazanie różnorodnych emocji, jak i na zaprezentowanie nienagannej dykcji, a o odrobinie naturalnego talentu komicznego nie będę nawet wspominał. Publiczność kilkakrotnie dość głośno się zaśmiała, więc zamierzony efekt został przez aktora osiągnięty.

W zasadzie każdy element wyreżyserowanego przez Miłosza Ferencę spektaklu był na swoim miejscu – obyło się bez zbędnych dłużyzn, niepotrzebnych rozpraszaczy i interpretacyjnych fikołków. Gdybym miał już wskazać jakiś mniej

trafiony element, byłaby to scenografia, ponieważ pokój typowego nastolatka raczej odbiega od układu dwóch krzeseł i stołu. To jednak tylko detal.

Podsumowując, Miłosz pokazał na scenie dokładnie to, co miał pokazać. Wcielenie się w znerwicowanego ucznia wyszło autentycznie, a momentami naprawdę zabawnie. Spektakl udowadnia, że o najtrudniejszych sprawach – takich jak fobie szkolne, presja otoczenia i strach przed odrzuceniem – można mówić bez patosu. To propozycja, która uświadamia dorosłym, jak wielki stres generują w oczach dzieci z pozoru błahe sprawy. Młodzież odnajdzie w tym monodramie swoje odbicie, a rodzice – odrobinę zrozumienia dla skomplikowanego umysłu nastolatka.

Krzysztof Przygoda

Rozkaz, sumienie i pusta przestrzeń

Monodram opowiada o głosach, które wracają wtedy, gdy milknie wszystko inne. Mickiewiczowski mrok nie jest tu jedynie przestrzenią spotkania żywych z umarłymi – staje się wnętrzem człowieka, który nie potrafi uciszyć pamięci i musi zmierzyć się z tym, co zrobił. Przedstawienie działa jak zatrzymany oddech przed odpowiedzią, której bohater jednocześnie szuka i się obawia.

Znane słowa „ciemno wszędzie, głucho wszędzie” nabierają dzięki temu bardziej osobistego znaczenia. Ciemność oznacza nie tylko brak światła, ale także zagubienie jednostki, która nie wie już, gdzie kończy się obowiązek, a zaczyna odpowiedzialność. Głuchota jest zaś brakiem odpowiedzi mogącej przynieść wyczekiwane usprawiedliwienie. Im częściej powraca ten klasyczny refren, tym mocniej brzmi jak pytanie zadawane własnemu sumieniu.

Najważniejszy konflikt rozgrywa się na cienkiej granicy między tym, co nakazane, a tym, co człowiek uważa za słuszne. Spektakl dotyka

Oliwia Klimkiewicz (15'), Klub Akademii Wojsk Lądowych im. gen. T. Kościuszki „Ciemno, głucho” na podstawie II części dramatu „Dziady” Adama Mickiewicza scenariusz i reżyseria: Magdalena Mielczyk

doświadczenia wykonywania rozkazów w świecie okrucieństwa i przemocy, ale nie pozwala schować się za parawanem samego obowiązku. Postać zostaje sam na sam z konsekwencjami swoich czynów. To właśnie ta samotność jest w monodramie bardziej przejmująca niż obecność samych duchów.

Głosy i obrazy pojawiające się w ciemności można odczytać jako ślady pamięci, których nie sposób wymazać. Nie wiadomo, czy przychodzą z zewnątrz, czy rodzą się w umyśle kogoś, kto próbuje zagłuszyć własne myśli. Ta niepewność dobrze służy przedstawieniu. Obrzęd przywoływania zmarłych zamienia się w wewnętrzny sąd, a przywołane widma stają się świadkami winy.

Oliwia Klimkiewicz mierzy się więc nie tylko z rytmem i powagą tekstu Adama Mickiewicza, ale również z trudnym doświadczeniem człowieka pękniętego między posłuszeństwem



fol. Aleksandra Ugwu

a moralnością. Najważniejszy pozostaje głos: raz stanowczy, jakby przywykły do rozkazów, innym razem niepewny i odślanający lęk. Najmocniej działa tu nie krzyk, lecz chwila, w której pewność siebie nagle się załamuje. Wtedy widz czuje, że wykonawczyni przestaje kontrolować to, co sama przywołała.

Reżyseria Magdaleny Mielczyk słusznie wybiera oszczędność i mroczny klimat, lecz światło, cisza oraz dźwięki nie służą jedynie budowaniu grozy. Przypominają raczej o obrazach przemocy, które wracają mimo prób zapomnienia. Odgłosy zagłuszające myśli mogą być echem zewnętrznego świata, ale także chaosem wewnątrz bohatera. Dzięki temu proste środki otrzymują znaczenie moralne, a nie tylko nastrojowe.

Mickiewiczowskie motywy winy, pamięci i duchowej przemiany zostają wpisane we współczesne pytanie o osobistą odpowiedzialność za zło. Spektakl nie daje łatwej odpowiedzi na to, czy człowieka może usprawiedliwić rozkaz, strach albo sytuacja, w której się znalazł. Ważniejsze jest samo pęknięcie: chwila, gdy wykonany obowiązek przestaje zgadzać się z tym, co podpowiada serce. W tym miejscu klasyczny

tekst naprawdę zbliża się do dzisiejszego widza.

Największym ograniczeniem spektaklu pozostaje jego czas trwania. To trochę za krótko, aby w pełni zbudować silne napięcie i pozwolić widzowi bez przeszkód odczytać całą historię czynu, winy oraz przemiany. Bez wyraźniejszego akcentu prowadzącego ku moralnemu konfliktowi publiczność może zobaczyć jedynie efektowną etiudę inspirowaną obrzędem „Dziadów”. Przydałby się jeden mocniejszy moment, który wyraźniej połączyłby powracające obrazy z odpowiedzialnością bohatera.

Mimo to widowisko ma w sobie coś niepokojąco aktualnego. Opowiada o człowieku, który może uciec od hałasu świata, ale nie potrafi uciec od własnej pamięci. Duchy nie przychodzą wyłącznie po to, by przestraszyć – zmuszają do spojrzenia na czyny, których nie można już cofnąć. To monodram o winie, odpowiedzialności i nadziei na wewnętrzną przemianę; traktujący bardziej o sędzie sumienia niż o spotkaniu ze zjawami.

Małgorzata Paszkier-Wojcieszonek

Filozofia bez sztywnego kołnierzyka

„Mędrole” są spotkaniem z człowiekiem, który siada blisko widzów i zaczyna opowiadać tak, jakby znał wszystkich od dawna. Nie ma tu chłodnego wykładu ani szkolnej powagi. Jest żywy głos, góralski dowcip, muzyczność mowy i radość z tego, że wielkie pytania można zadać po swojemu. Filozofia przestaje być czymś odległym, a staje się rozmową przy stole, na drodze, nad wodą – zawieszoną między śmiechem a zamysleniem.

Spektakl opiera się na tekstach Józefa Tischnera i czuć w nim tę szczególną lekkość, która wcale nie oznacza powierzchowności. Platon, Anaksymenes i inni wielcy mędracy zostają przeniesieni na Podhale, dzięki czemu stają się nam bliżsi. Ich myśli nagle zyskują zapach gór, rytm przyspiewki, szorstkość żartu i smak opowieści przekazywanej z ust do ust.

Najwięcej uroku mają te momenty, w których sens pojawia się mimochodem. Widz najpierw się śmieje, a dopiero po chwili łapie się na tym, że usłyszał coś bardzo poważnego. Mowa tu o duszy, cieniu, honorze, pustce, sprawiedliwości i śmierci, ale bez zbędnego, ciężkiego tonu. Stanisław Apostoł pokazuje, że człowiek może myśleć głęboko, nawet kiedy żartuje. A czasem właśnie wtedy myśli najuczciwiej.

Stanisław Apostoł, woj. małopolskie, Oddział Tatrzański PTTK, Zakopane „Mędrole” (25’) na podstawie tekstu ks. prof. Józefa Tischnera „Historia filozofii po góralsku”

scenariusz i reżyseria: Stanisław Apostoł

muzyka: Kapela Przewodnicka „Klimka”; przy Oddziale Tatrzańskim PTTK

scenografia: Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych im. A. Kenara w Zakopanem

Najważniejsze, że ten zabieg nie ośmiesza filozofii, lecz odbiera jej onieśmielający dystans. Pytania o prawdę, duszę, honor i śmierć schodzą z uniwersyteckiej katedry między ludzi, gdzie można je sprawdzać własnym doświadczeniem.

Stanisław Apostoł nie buduje postaci w tradycyjnym sensie. Jest raczej gospodarzem tej opowieści, przewodnikiem i gawędziarzem. Jego siła polega na genialnym kontakcie z publicznością. Musi stale czuć rytm sali, wiedzieć, kiedy przyspieszyć, kiedy zawiesić głos, kiedy puścić oko, a kiedy pozwolić, by żart nagle odłonił smutek albo mądrość. To bardzo wymagające zadanie, bo taka narracja żyje tylko wtedy, gdy aktor jest na scenie naprawdę obecny.

Najlepiej działa w tym monodramie energia swobody. Widz ma poczucie, że słucha kogoś, kto nie odtwarza nauczonego tekstu, ale naprawdę nim żyje. Gwara nie jest tu jedynie ozdobą ani popisem – stanowi serce spektaklu. To dzięki niej abstrakcyjne sprawy nabierają cia-



fot. Aleksandra Ugwu

ła, humoru i ludzkiego ciepła. Kiedy pojawiają się przyspiewki i powtórzenia, przedstawienie zaczyna przypominać wspólne słuchanie historii, która od pokoleń krąży między ludźmi.

Muzyka i rytmiczne powracanie do motywów budują przy tym coś więcej niż folklorystyczny nastrój: tworzą autentyczne poczucie wspólnoty słuchających. Lokalność nie zamyka tu teatru, lecz staje się jego pełnoprawnym językiem.

Oczywiście ta sama gwara może być także przeszkodą. Dla widza mniej osłuchanego z podhalańską mową niektóre fragmenty mogą uciekać. Bywają też chwile, gdy opowieść za bardzo się rozpędza i zaczyna być bardziej potokiem słów niż głębokim przeżyciem. Wtedy przydałoby się zdecydowanie więcej oddechu, po to, aby odbiorca mógł mocniej poczuć sens tego, co właśnie wybrzmiało.

To jeszcze nie koniec

Zaczyna się lekko, prawie zabawnie. Jest stół, są balony, tort, kwiaty, telefon, goście i kobieta, która bardzo chce, żeby wszystko się udało. Krząta się, żartuje, zaprasza, próbuje stworzyć atmosferę święta. I właśnie dlatego późniejsze pęknięcie okazuje się tak bolesne. Za tym urodzinowym blaskiem coraz wyraźniej widać bowiem samotność.

To monodram o chorobie, ale nie tylko o niej. To opowieść o człowieku, któremu nagle ktoś przerywa życie w pół zdania. Jeszcze przed chwilą miała być impreza, prezent, toast i śmiech, a po jednym usłyszonym w słuchawce zdaniu świat całkowicie zmienia kolor. Diagnoza wchodzi w tę przestrzeń, jak ktoś nieproszony. Nie potrzebuje wielkich słów, żeby wszystko wywrócić do góry nogami.

Najbardziej poruszające jest zderzenie zwyczajności z lękiem. Bohaterka liczy lata, poranki, zachody słońca, oddechy i nagle widzi, że za tym wyliczaniem kryje się rozpaczliwa próba

Największym ryzykiem spektaklu jest to, że ktoś zapamięta tylko śmieszność, a zgubi czułość i mądrość ukrytą pod żartem. Przedstawienie potrzebuje skupienia, bo nie wszystko podaje wprost. Czasem najważniejsza myśl ukryta jest w pozornie lekkiej anegdocie. I właśnie to jest w nim piękne: śmiech nie przykrywa powagi, tylko pomaga do niej dojść.

„Mędrole” zostawiają widza z poczuciem, że mądrość nie musi mieć sztywnego kołnierzyka. Może mówić gwarą, śpiewać, śmiać się, trochę przesadzać i czasem kluczyć. To widowisko ciepłe, osobne i bardzo zakorzenione w miejscu, z którego wyrasta. Nie jest idealnie równe, ale ma duszę. A w teatrze taka dusza bywa cenniejsza niż perfekcyjnie wygładzona, rzemieślnicza forma.

Małgorzata Paszkier-Wojcieszonek

Barbara Gembrowicz, woj. podkarpackie, Jarosławski Ośrodek Kultury i Sztuki „Urodziny” (30’),

scenariusz: Rafał Paśko, muzyka: Wiktor Marut

scenografia i reżyseria: Paweł Sroka

zrozumienia, ile jeszcze zostało. Urodziny, które powinny krzyknąć „żyję”, zaczynają szeptać „boję się”. Ten moment jest niezwykle ludzki. Nie ma w nim patosu, pojawia się za to nagła bezradność.

Scenariusz Rafała Paśki ma w sobie dużo czarnego humoru i to stanowi jego ogromną siłę. Bohaterka nie zamienia się w bezradny symbol dotknięty nieszczęściem. Jest ostra, śmieszna, złośliwa, przestraszona, wściekła i nadal bardzo żywa. Potrafi parodiować sztuczny język poradników, wyśmiać dobre rady, siarczyście przekląć i kpić z własnej sytuacji. Ten specyficzny dowcip nie odbiera ciężaru diagnozie – pokazuje raczej, że człowiek próbuje bronić się tak, jak umie.

Wyjątkowo celna jest metafora „akademii raka” – przymusowej szkoły, w której pacjentka zdaje



fol. Aleksandra Ugwu

kolejne klasy leczenia, czasem musi je powtarzać i nigdy nie wie, czy ostatecznie otrzyma świadectwo. W tym gorzkim obrazie doświadczenie kliniczne spotyka się z absurdem procedur, a śmiech staje się sposobem na odzyskanie choć odrobiny władzy nad własnym losem.

Barbara Gembrowicz ma do zagrania bardzo trudną drogę: od energii gospodyni przyjęcia do skrajnego wyczerpania osoby wrzuconej w leczenie, szpitalną rzeczywistość, chemię i paraliżujący strach. Najmocniejsze są momenty, gdy śmiech nagle więźnie jej w gardle. Publiczność widzi kobietę, która bardzo chce panować nad sytuacją, ale ciało i system zaczynają odbierać jej tę kontrolę. To nie jest ładna opowieść o heroizmie. To historia o dzielności brzydkiej, spoczonej, zmęczonej i przez to boleśnie prawdziwej. Ta skrajna mieszanina emocji czyni monodram niezwykle przekonującym.

Przedmioty na scenie pracują bardzo prosto i mocno. Balony, tort, telefon, prezent czy torba do szpitala zmieniają znaczenie na naszych oczach. To, co miało tworzyć święto, zaczyna

przypominać dekorację ustawioną na chwilę przed katastrofą. Reżyseria Pawła Sroki doskonale korzysta z tej transformacji. Nie trzeba wielkich efektów, bo wystarczy zobaczyć, jak stół urodzinowy nagle staje się miejscem samotnej walki.

Monodram mówi również o zmaganiach o ocalenie własnej podmiotowości. Świat próbuje zmienić bohaterkę w pacjentkę, kolejny przypadek i numer w kolejce, ona zaś uparcie przypomina, że nadal jest osobą z temperamentem, pragnieniami i pełnym prawem do gniewu.

Bardzo dobry okazuje się pomysł wciągnięcia widzów w sytuację przyjęcia. Najpierw możemy poczuć się prawie jak goście, zaproszeni do wspólnej zabawy. Potem jednak trudno się z tej obecności wycofać. Skoro siedzimy przy jej stole, musimy też wysłuchać tego, co przy nim pęka. To sprawia, że spektakl nie jest tylko osobistym wyznaniem, ale także pytaniem skierowanym do nas: czy naprawdę umiemy być blisko kogoś, kto choruje?

W niektórych fragmentach spektakl wyraźniej akcentuje trudne doświadczenia związane z lekarzami, poradami, kolejkami i funkcjonowaniem służby zdrowia. Ta bezpośredniość dobrze oddaje złość oraz bezradność bohaterki, choć miejscami podobną siłę mogłyby mieć również cisza i bardziej oszczędne środki wyrazu. „Uro-

dziny” poruszają szczerością, z jaką opowiadają o chorobie – bez patosu i upiększeń. Pozostaje po nich obraz kobiety, która mimo paraliżującego lęku nadal zaprasza ludzi do wspólnego stołu i mówi: jestem tutaj, jeszcze jestem.

Małgorzata Paszkier-Wojcieszonek

Podróże bez znieczulenia

Tytuł spektaklu jest przewrotny. Słyszac go, od razu budujemy w głowie obraz domu, który opisuje tekst przeboju Hanny Banaszak z 1984 roku – „W moim magicznym domu”. Bezpieczne, ciepłe miejsce, w którym możemy się zaszyć z kotem i kubkiem gorącej herbaty, w którym czujemy się niezagrożeni i beztroscy. Ale monodram nie opowiada o takim domu. Opowiada raczej o jego braku, a co za tym idzie – o poczuciu niestabilności i zagrożenia.

Scenariusz spektaklu napisała kilkunastoletnia Emilia Śliwa z Miejskiego Ośrodka Kultury w Dębicy i to ona prezentuje go na scenie. Z perspektywy nastolatki opisuje przeżycia i zagubienie córki po rozwodzie rodziców. Dziel-

Emilia Śliwa, woj. podkarpackie, Miejski Ośrodek Kultury, Dębica
 „W moim magicznym domu” (25’)
 scenariusz: Emilia Śliwa
 reżyseria: Dominika Migoń-Madura

czynna nie chce wybierać pomiędzy matką a ojcem – chce być z obojgiem, ale w trójkę już się nie da. Obwinia się o rozpad małżeństwa swoich rodziców i szuka w sobie winy za ich decyzję, mimo że dorośli zaprzeczają, aby miała w tym jakkolwiek udział. Krąży pomiędzy rodzicami, zostając u tego, który akurat ma czas się nią zająć. Ale co to znaczy „zająć się”? Nikt nie pyta jej, jak się czuje i jak daje sobie radę w tej niełatwej sytuacji. Jest pozostawiona sama sobie. I musi sobie z tym radzić.



fol. Aleksandra Ugwu

Takie spojrzenie na problem rozvodu nie jest może nowe ani zaskakujące, ale w wykonaniu młodej dziewczyny, której problem mógłby bezpośrednio dotyczyć, nabiera dramatyzmu.

Oprócz Emilii na scenie „występuje” walizka. Z czym się normalnie kojarzy? Z podróżami, przygodami, wakacjami i czymś przyjemnym. Tutaj jednak – podobnie jak z tytułem spektaklu – znowu jest przewrotnie. Walizka symbolizuje konieczność pozostawiania w stałym ruchu pomiędzy matką a ojcem. Brak poczucia bezpieczeństwa i trwałości. Rodzice, to znaczy każdy z osobna, mają swój dom. Ona nie, bo ciągle stoi w rozkroku.

Bohaterka monodramu nie jest już dzieckiem, jest nastolatką, ale rozwód rodziców całkowicie burzy jej świat, a w nowym nie umie się odnaleźć, co bardzo dosadnie wybrzmiewa ze sceny. Widzimy bunt przeciwko zastanej sytuacji, bez-

silność wobec decyzji rodziców, rozpacz oraz brak oparcia w kimkolwiek i nadziei.

Spektakl kończy się refrenem tytułowej piosenki:

„...*W moim magicznym domu*

Ciepło jest i bezpiecznie...”.

A my już wiemy, że tak nie jest.

Po obejrzeniu przedstawienia pomyślałam, że może warto byłoby prezentować taki spektakl małżeństwom, które mają dzieci i chcą się rozwieść? Na przykład podczas mediacji. I nie chodzi o to, żeby zmienili decyzję (choć może?), ale o to, żeby zastanowili się, jak pomóc swoim dzieciom przejść przez tę całą sytuację. Żeby o nich pamiętali, a nie uciekali w nowe dla nich życie.

Joanna Jusianiec

Kuba

Monodram „WYJŚCIA”, który zaprezentował dziś Jakub Lipiński, pozostawił mnie z wieloma mieszanymi uczuciami. Ale to dobrze – głównie dlatego, że mnie sprowokował. Sprowokował do zadania sobie pytań, których nie spodziewałem się zadać jeszcze pół godziny wcześniej. Dzięki temu będę mógł podzielić się z czytelnikami tym krótkim spisem wrażeń i drobnych uwag; czymś – mam nadzieję – żywszym, niż pierwotnie zakładałem. Koniec dygresji. Obiecuje.

Zacznę od pierwszego wrażenia, które powstało w wyniku wysłuchania krótkiego nagrania z samego początku monologu. Uwagą wielokrotnie powtarzaną podczas dyskusji festiwalowych jest dbałość o odpowiednią artykulację. Nie będę wyliczał potknięć, lecz poproszę o zadbanie o ten aspekt w przyszłości – w szczególności w nagraniu audio, które przecież można powtarzać do skutku. Udało mi się jednak otrząsnąć z tego pierwszego wrażenia, gdy tylko Kuba pojawił się na scenie. Stało się tak po części dlatego, że w moim odczuciu żywa mowa brzmiała poprawnie niż odtworzony głos, a przede

Jakub Lipiński, woj. opolskie, „ALA” Autorskie Licea Artystyczne, Nysa
„WYJŚCIA” spektakl autorski inspirowany monologiem „Ride” Elizabeth Woolridge Grant,
w spektaklu wykorzystano muzykę: Łukasza Ciesiolkiewskiego
scenariusz i reżyseria: Jakub Lipiński
choreografia: Jakub Lipiński i Jagoda Tarka

wszystkim za sprawą samego aktora, który zaczął prowokować mnie, widza, od pierwszego pojawienia się w światłach reflektorów.

Powiem szczerze: nie nudziłem się. Kuba utrzymał moją uwagę przez cały monodram. Chciałem go słuchać, chciałem zadawać sobie pytania odnośnie do tego, co jest mi serwowane, a co określiłbym jako uporządkowany, celowy chaos osadzony w procesie poszukiwania. Czego? Mnóstwa rzeczy! Lecz głównie – właśnie tytułowego WYJŚCIA. Wyjścia ze splątania, z oczekiwań, zobowiązań, schematów i stereotypów. Ta droga przez młodzieńczą wrażliwość oraz poszukiwanie formy, którą można przekazać wszystko, co kryje się wewnątrz, sprawiły mi ogromną przyjemność.



fol. Aleksandra Ugwu

Trzeba Kubie przyznać, że podszedł do swojego zadania bardzo odważnie. Nie szczędził środków do wykreowania głównej postaci, a kostium zakupiony na Temu prezentował się spektakularnie. Nie wiadomo wprawdzie, czym jest ów rekwizyt opisany jako „no i jedna rzecz od babci Danusi” (wyobraźnia może tu poszaleć), lecz z pewnością on również stanął na wysokości zadania. Całość powstawała przy współpracy i życzliwości wielu osób, co jest szalenie istotne, tym bardziej dla początkującego amatora sztuk scenicznych. Cieszy konsultacja reżyserska i choreograficzna, choć ponoć ta druga i tak była w jakimś stopniu improwizowana. Przypadł mi do gustu wybór utworów muzycznych, w szczególności ostatni, który pozostawił mnie w atmosferze głębokiej refleksji nad tym, co zobaczyłem. W utrzymaniu uwagi pomogło również odpowiednie tempo spektaklu. Nie jestem jednak przekonany co do zasadności przełamania czwartej ściany. Poleciłbym jeszcze skonsultować tłumaczenie tekstu, choć w przeważającej większości było ono w punkt – oryginalny monolog bowiem czytałem.

Można by w tym miejscu zakwestionować monolog napisany przez popularną piosenkarkę o wielu pseudonimach jako dobre źródło inspiracji dla monodramu. I tak też po części zrobię. Szukając odpowiedniego słowa, użyję określenia „bezpieczniej”. Zgodnie z tym, co jest wielokrotnie przypominane podczas Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego, bezpieczniej jest użyć jako podwaliny spektaklu tekstu już istniejącego w literaturze i serdecznie bym to Kubie polecał na przyszłość.

Nie znaczy to zupełnie, że to, co stworzył, mi się nie podobało. Porozmawiałem z Jakubem przez krótką chwilę, chcąc poznać człowieka skrytego pod gorsetem i peruką, i muszę przyznać, że rozumiem. Rozumiem potrzebę. Potrzebę wyrażenia czegoś, czego czasem nie sposób znaleźć w istniejącej literaturze. To też jest dążenie do wolności – osobistej, jednakże uzewnętrznionej w świadomym celu artystycznym.

I takiego Kubę na scenie widziałem. Wolnego.

Bartosz Chomicz

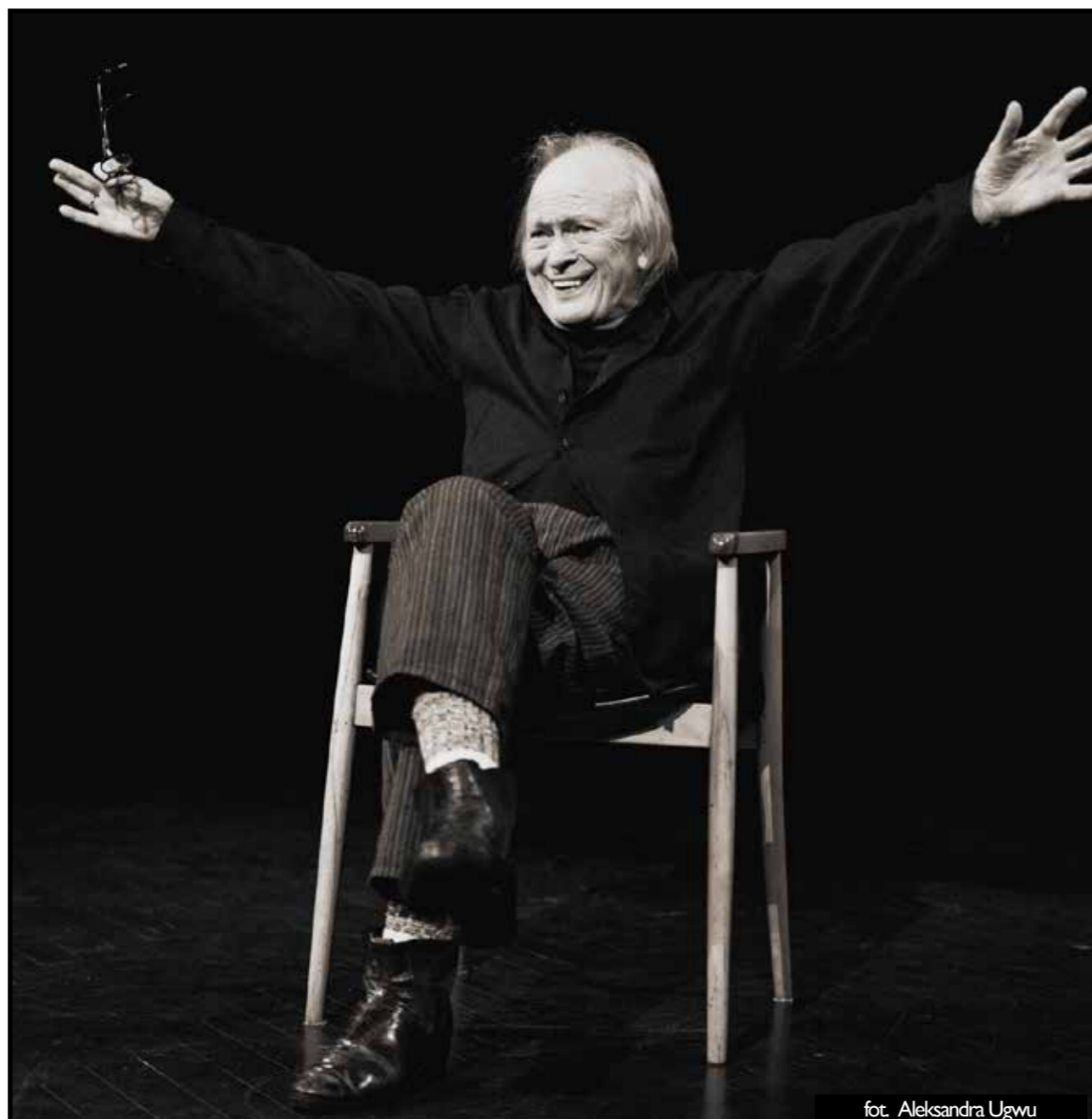
Rzeka, która płynie dla nas

Gdy dwa lata temu podczas 21. edycji „Sam na scenie” Wiesław Komasa skończył grać monodram „Jak się wszystko dziwnie plecie”, został jeszcze chwilę na scenie. Wyrecytował spontanicznie wiersz „Przyszli, żeby zobaczyć poetę”. Pamiętam dobrze, że wstałem wtedy ponownie, aby podziękować oklaskami aktorowi za ten dar.

Dzisiejszego wieczoru zostałem obdarowany ponownie i to po wielokroć. „Mieć jak rzeka swe źródło. Monodram autobiograficzny” to nie tylko rekapitulacja kariery mistrza scenicznego

rzemiosła. To archetypiczna opowieść o źródłach indywidualnej twórczości. Narracja o prostej, ale przepięknej i przedziwnej sile słów oraz ich tajemnicy, która potrafi być objawieniem, przeistoczeniem i drogą do wolności oraz kreacji. Jest zarazem głęboko wieloznacznym namysłem nad rolą twórcy i jego odpowiedzialnością wobec innych. To przede wszystkim przejmująca spowiedź aktora – człowieka, który ponownie staje przed publicznością z pustą walizką, oddawszy nam z niej wszystko.

Maciej Swornowski



fot. Aleksandra Ugwu

Relacja z omówień jurorskich

Miłosz Kucharski „Monolog znerwicowanego ucznia”

Jolanta Krawczykiewicz:

„Mogę być wszą parszywą, byłem tylko mówić prawdę”- cytata z monodramu Wiesława Komasy. Z prawdą podczas tego spektaklu było różnie.

Grzęzniesz w elementach, z których prawda nie wyziera. Musisz zastanowić się, do kogo Ty to mówisz.

cję z widzem, uciekając w rekwizyt.

Możesz być bardzo wiarygodny w tej opowieści, jednak wymaga to pracy.

Ziuta Zającówna:

Każde doświadczenie z monodramem w was wibruje i będzie procentowało. W tej prezentacji było bardzo dużo ciekawych momentów.

Polecam jednak rozwinąć to znerwicowanie bohatera, nadbudować działania fizyczne, ruchowe postaci.



fot. Aleksandra Ugwu

To, co robisz, nie prowadzi mnie do tego, co mówisz na końcu.

Paweł Drzewiecki:

Piękne jest to, że prezentacje wyrastają z waszych doświadczeń. Chciałbym wiedzieć, jaka konwencja odbywa się na scenie.

Rekwizyty których używasz Ci nie pomagają - wręcz szatkują twoją wypowiedź. Zrywasz rela-

Ważne jest bycie aktora z tekstem, a także uporządkowanie w przestrzeni.

Katarzyna Flader-Rzeszowska:

Monodram to jest spotkanie. Za każdym razem miałam wrażenie, że chcecie mi coś ważnego powiedzieć.

Pokemon stał się symbolem nieprzystawania do pewnych reguł.

Mam wrażenie, że ten spektakl dopiero się zaczyna. Zalecam więcej budować się w postaci. Wchodzenie w energię skutkuje tym, że siada ci dykcja.

Bardziej problem widzę w tekście, że te historyjki nie prowadzą do puenty, że kto jest normalny, jak każdy jest inny.

Oliwia Klimkiewicz „Ciemno, głucho”

ZZ:

Sam pomysł zaskakujący, paraliżujący. Używasz bardzo mocnych środków.

Mam niedosyt, jeśli chodzi o język. Myślałam, że rozwinie się to bardziej w teatr. Miałam potrzebę, by było więcej teatru jednego aktora.

Zabrakło tego aktorskiego czynnika. Pomyśl

o rytmie frazy. Zachęcam do dynamiki i rozmowy ze sobą.

KFR:

Wybiłaś nas z ram tradycyjnego myślenia. Jest to coś przekraczającego granice, do których gdzieś tam się przyzwyczaiłam. Bardzo konsekwentne i klarowne w kwestii reżyserskiej.

PD:

Kupuję ten spektakl jako monodram. Tekst zadziałał i zyskał tu i teraz. Smaczne plastycznie. Bardzo dobrze pomyślane światła i ruch.

JK:

Dodam wdzięczność za to, że przeżyłam wzruszenie.



fot. Aleksandra Ugwu



fot. Aleksandra Ugwu

Stanisław Apostoł „Mędrole”:

PD:

Moja wewnętrzna próba klasyfikacji ukierunkowała to w stronę gawędy. Nie mam wątpliwości co do zbudowanej rzeczywistości.

Największy teatr powstał w scenie z żabą.

Zapał mi w pamięć cytat: „Czy oni są dawni, czy dzisiejsi”.

Jest to taka kwintesencja spektaklu. Sprawia pan, że Tischner jest ocalony od zapomnienia.

KFR:

Tischner jest wiecznie nośny i żywy. Zostawia nadzieję. I pan te nadzieję też zostawia.

Spektakl ma w sobie bardzo dużo teatralności.

Bardzo mi się podobała puenta. Kto jest ważniejszy? Góral czy ksiądz? Ksiądz czy góral? Najważniejsza jest miłość do drugiego człowieka.

ZZ:

Zwracam uwagę na uruchomienie ciała. Wchodzenie w inne postacie jest emocjonalnie uzasadnione. Mam w tym satysfakcję, że jest pan w tym wszystkim prawdziwy.

JK:

Był pan pierwszą osobą dzisiejszego dnia, która nie zaniedbała słowa - doskonała artykulacja i dykcja.

Jestem ogromnie wdzięczna, że odkrywa pan Tischnera młodym ludziom.

Barbara Gembrowicz „Urodziny”

KFR:

Ma Pani w sobie siłę, która czuć od wejścia, aż chce się z panią posiedzieć.

Gdy lekarzy zaczyna grać ręka i cień, ja widzę tych lekarzy.

Trzeba poszukać, co zmieniło się w bohaterce.

ZZ:

Piosenka była za cicha - nie zawsze smutne i głębokie znaczą ciche.

Zaburzony rytm całego spektaklu.

Bohaterka nie walczy, a powinna.

PD:

Umiejętnie zbudowała Pani dwa różne światy.

Forma tak zapraszająca widza jest ryzykowna.

Zachęcam poszukać, jaka ta bohaterka mogłaby jeszcze być.

JK:

Świeca zgaśta, ale to jeszcze nie koniec. Bardzo poetyckie.

Emilia Śliwa „W moim magicznym domu”:

ZZ:

Jesteś bardzo prawdziwa w tym, co zaproponowałaś.

Zachęcam do szukania tekstów o waszych problemach.

PD:

Zaplecze teatralne pięknie skomponowane.

Gratuluję pomysłu na ogranie rekwizytu.

KFR:

Masz prawdę w oczach, a to nie jest łatwe.

Dobrze, że w spektaklu nie było muzyki, zupełnie nie była potrzebna.

JK:

Dziękuję za wiarygodność i dbałość o słowo.

Jakub Lipiński „WYJŚC!A”

PD:

O ważnych i trudnych tematach warto mówić spokojnie to buduje fundament pod więź aktora z widzem.

Pojedyncze zdania nie składały się w całość.

Stracił mnie Pan jako widza, ciężko wygrzebać się spod tego chaosu.

KFR:

Ciężko reżyserować samego siebie.

Jest to za mało komunikatywne, zostałam trochę z boku a scena lubi precyzję.

Dziękuję za odwagę wypowiedzi.

ZZ:

Trudno jest mówić o tym spektaklu, bo w większości rozgrywa się w tobie.

Perspektywa reżysera dałaby nowy efekt w tobie.

JK:

Mam nadzieję, że do tej fantastycznej mowy ciała popracujesz nad słowem.

Omówienia spisali: Natalia Pabisiak, Inga Zwołan-Wolszczak, Jan Zdziarski Junior.



Redakcja

Redaktor naczelny: Maciej Swornowski

Autorzy: Bartosz Chomicz, Joanna Jusianiec, Małgorzata Paszkier-Wojcieszonek, Krzysztof Przygoda

Dział foto: Krzysztof Przewoźny, Aleksandra Ugwu

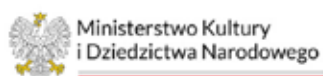
Słupski Ośrodek Kultury,
Słupskie Towarzystwo Kultury
Teatralnej Teatr Rondo
ul. M. Niedziałkowskiego 5a,
76-200 Słupsk
rondo@sok.slupsk.pl

ORGANIZATORZY

SŁUPSKIE
TOWARZYSTWO
KULTURY
TEATRALNEJ



PATRONAT



Patronat Honorowy



MIECZYŚLAW STRUK
MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO



DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



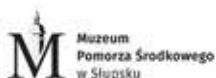
WOJEWÓDZTWO
POMORSKIE



Miasto
Słupsk

DOFINANSOWANO ZE
ŚRODKÓW MINISTERSTWA
KULTURY I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO
POCHODZĄCYCH Z
FUNDUSZU PROMOCJI
KULTURY I SZTUKI

PARTNERZY/SPONSORZY



Institucja Kultury Samorządu
Województwa Pomorskiego



Państwowy
Instytut
Wydawniczy



SOSiR
Słupsk



Urodz PLASZ
Kamionka Pomorska

MEDIA



Radio Gdańsk | 80lat



ISSN 0265-7821



9 770265 782713